

Mistrzowska, niezwykle ważna opowieść
z podzielonej rasowo Ameryki... To jest wielka proza.

THE GUARDIAN



BŁOTO

HILLARY JORDAN



HILLARY JORDAN

BŁOTO

tłumaczenie Adriana Sokołowska-Ostapko



OTWARTE

Kraków 2018

Tytuł oryginału: *Mudbound*

© 2008 by Hillary Jordan. All rights reserved.

Published by arrangement with Algonquin Books of Chapel Hill,
a division of Workman Publishing Company, Inc., New York

Copyright © for the translation by Adriana Sokołowska-Ostapko

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Ewa Polańska Kropka

Projekt okładki: Lisa Fyfe

Fotografia na okładce: Alicia Bock

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Nikola Hahn

Fotografia autorki: Michael Epstein

ISBN 978-83-7515-497-9



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

*Dla mamy, Gay i Nany
za opowieści*

Gdybym mógł, nie pisałbym tu w ogóle nic.
Byłyby same zdjęcia, a oprócz nich skrawki
ubrań, strzępy bawełny, grudki ziemi, nagrane
rozmowy, kawałki drewna i żelaza, fiolki z za-
pachami, miski z jedzeniem i z odchodami [...].

Jakaś część ciała wyrwana z korzeniami
oddałaby o wiele więcej.

James Agee, *Let Us Now Praise Famous Men*

JAMIE

Razem z Henrym kopaliśmy dół na dwa metry. Gdybyśmy pochowali ciało choć odrobinę płycej, mogłoby wypłynąć przy pierwszej większej powodzi: „Siemacie, chłopaki! Pamiętacie mnie?”. Myśl o tym pomagała utrzymać szpadel w rękach i kopać dalej, nawet gdy pęcherze, które nam się porobiły na dłoniach, pękały, a w ich miejsce wyskakiwały nowe bąble. Każdy kolejny ruch łopatą przynosił istne męki – staruszek po raz ostatni dawał nam niezły wycisk. Mimo to cieszyłem się z tego bólu. Zagłuszał myśli i wspomnienia.

Gdy dół zrobił się na tyle głęboki, że szpadlami nie sięgaliśmy dna, wskoczyłem do niego, by dalej kopać, za to Henry łaził tam i z powrotem i wpatrywał się w niebo. Ziemia była namokła od deszczu; wbijając łopatę, czułem się tak, jak gdybym wrzynał się w surowe mięso. Musiałem co chwilę zeskrobywać ze szpadla skorupę błota i przeklinałem pod nosem, bo cała sprawa zaczynała się przeciągać. Było to pierwsze przejaśnienie od trzech dni i mogło okazać się naszą

ostatnią szansą na to, żeby pochować ciało w najbliższym czasie.

– Lepiej się uwijaj – rzucił Henry.

Popatrzyłem na niebo. Chmury nad nami miały kolor popiołu, ale na północy kłębiła się czarna masa, która sunęła w naszą stronę. Dość szybko.

– Nie zdążymy – powiedziałem.

– Zdążymy – odparł.

Taki właśnie był Henry: całkowicie pewny, że to, co sobie umyśli, na pewno się stanie. Zakopimy ciało, zanim rozpęta się burza. Ziemia wyschnie na czas, żeby można ponownie zasadzić bawełnę. Następny rok będzie lepszy. Młodszy brat nigdy go nie zdradzi.

Zacząłem kopać szybciej, krzywiąc się przy każdym ruchu. Wiedziałem, że mógłbym przestać, a wtedy Henry zastąpiłby mnie bez słowa skargi – nawet jeśli miał prawie pięćdziesiątkę na karku, a ja jeszcze nie dobiłem trzydziestki. Byłem jednak na tyle dumny albo uparty, albo i jedno, i drugie, że nie przestawałem machać szpadlem. Zanim więc brat powiedział: „Dobra, moja kolej”, mięśnie paliły mnie żywym ogniem, a w piersiach rzęziło mi jak w starym silniku. Gdy wyciągał mnie z dołu, zacisnąłem zęby, żeby nie wrzasnąć z bólu. Wciąż byłem cały obolały od kopniaków i ciosów, ale Henry o tym nie wiedział.

I nie miał się dowiedzieć.

Ukląknę przy wykopie, patrzyłem, jak brat zaczyna pracować. Twarz i ręce miał tak oblepione błotem, że przechodnie mogliby go wziąć za Murzyna. Pewnie byłem równie usmolony, ale mnie zdradzała ruda czupryna. Włosy miałem po tacie, miedziane loki tak delikatne, że kobiety korciło, by zanurzyć w nich palce. Zawsze nienawidziłem tego koloru. Płomienistego piętna, które na każdym

kroku obwieszczało światu, że jestem synem swojego ojca, a mnie samemu przypominało tę prawdę za każdym razem, gdy patrzyłem w lustro.

Gdzieś na głębokości metra szpadeł brata uderzył w coś twardego.

– Co to? – spytałem.

– Chyba kamień.

Nie był to jednak kamień, ale kość – ludzka czaszka, bez tylnej połowy czerepu.

– Szlag by to – mruknął Henry, podnosząc znalezisko i oglądając je w świetle.

– Co teraz?

– Nie wiem.

Obaj spojrzeliśmy na północ. Czarna masa rozrastała się, pochłaniała coraz większą połąć nieba.

– Nie możemy zaczynać od nowa – powiedziałem. – Jak lunie, to będzie zacinało parę ładnych dni, zanim znów odpuści.

– Nie podoba mi się to – powiedział Henry, kręcąc głową. – Tak się nie robi.

Mimo wszystko wrócił do pracy, tyle że teraz kopał ręcznie, wygrzebywał z ziemi i po kolei podawał mi: żebra, kości ręki, miednicę. Gdy dotarł do kości nóg, rozległ się brzęk metalu. Brat podniósł piszczel, a wtedy zobaczyłem naokoło niej przerdzewiałą żelazną obręcz. Oraz zwisający z niej przerwany łańcuch.

– Jezu Chryste – sapnął Henry – to grób niewolnika.

– Tego nie wiesz na pewno.

Brat uniósł połamaną czaszkę.

– Widzisz? Strzelili mu w łeb od tyłu. Pewnie uciekał. – Pokiwał głową. – No to załatwione.

– Co załatwione?

– Nie możemy pochować ojca w grobie czarnucha – oznajmił Henry. – Tego by nie zniósł. Pomóż mi stąd wyleźć. – Wyciągnął ubrudzoną dłoń.

– To mógł być skazaniec, który uciekł z więzienia – przekonywałem. – Biały. – Mógł być, ale dałbym sobie rękę uciąć, że wcale nie był. Henry jednak zawahał się, dodałem więc: – Więzienie jest ile, jakieś dziesięć, jedenaście kilometrów stąd?

– Prędzej szesnaście – poprawił mnie brat, ale opuścił ramię.

– Dawaj – pochyliłem się. – Zrób sobie przerwę. Kolej na mnie.

Henry podniósł rękę i chwycił moją dłoń, a ja z trudem powstrzymałem uśmiech. Brat miał rację: ojciec nie zniósłby tego.

Henry znów stał w dole i kopał, gdy zobaczyłem Laurę, która szła w naszą stronę przez zalane pola, w rękach niosła wiadra. Wyjąłem z kieszeni chustkę i otarłem twarz z błota. Próżność – to też odziedziczyłem po tacie.

– Idzie Laura – powiedziałem.

– Wyciągnij mnie – rzucił Henry.

Chwyciłem brata za dłonie, po czym stękając z wysiłku, poderwałem go do góry i pomogłem mu wygrąmolить się z wykopu. Henry z trudem uklęknął, oddychał chrapliwie. Gdy pochylił kark, czapka spadła mu na ziemię, a ja zobaczyłem różowy placek łysiny na czubku jego głowy. Niespodziewanie ścisnęło mi się serce. „Starzeje się – pomyślałem. – Nie zawsze tu będzie”.

Podniósł wzrok, rozglądając się za Laurą. Gdy ją dojrzał, w jego oczach rozjarzyły się uczucia tak intymne, że na ten widok poczułem się skrępowany: tęsknota, nadzieja, cień zmartwienia.

– Lepiej cię zmienię – mruknąłem.

Odwrociłem się, złapałem szpadel, po czym na pół zeskoczyłem, na pół ześlizgnąłem się do dołu. Wykop był już tak głęboki, że stojąc w nim, nie wyglądałem poza krawędź. No i dobrze.

– Jak wam idzie? – usłyszałem pytanie Laury. Jak zwykle jej głos poraził mnie niczym strumień zimnej, kryształicznej wody. Takim głosem powinny przemawiać zwiewne istoty, syreny albo anioły, a nie stateczna żona farmera z Missisipi.

– Prawie skończyliśmy – powiedział Henry. – Jeszcze jakieś trzydzieści centymetrów i będzie po wszystkim.

– Przyniosłam jedzenie i wodę – oznajmiła.

– Wodę! – Brat roześmiał się gorzko. – Jakbyśmy mieli jej tu za mało. – Usłyszałem zgrzyt chochli drapiącej o blaszany kubel, odgłos przelękania, a następnie w otworze nad dołem pojawiła się twarz Laury. Bratowa podała mi chochlę.

– Trzymaj – powiedziała – napij się.

Pilem łapczywie, wyobrażając sobie, że wlewam w siebie nie wodę, ale whiskey. Alkohol skończył mi się trzy dni temu, zanim zalało most i odcięło nas od miasta. Teraz rzeka cofnęła się już i wyglądało na to, że dałbym radę przedostać się do cywilizacji – gdybym nie utknął w tym cholernym dole.

Podziękowałem i oddałem chochlę Laurze, ale ona nie patrzyła na mnie. Spoglądała nad moją głową na drugą stronę grobu, tam gdzie złożyliśmy odkopane kości.

– Dobry Boże, to ludzkie? – spytała.

– Nic nie poradzimy – odpowiedział Henry. – Mieliśmy połowę roboty za sobą, kiedy je znaleźliśmy.

Kącik warg jej drgnął, gdy wpatrywała się w kajdany i łańcuch. Zasłoniła usta dłonią, obróciła się do męża.

– Zabierzcie je stąd, żeby dzieci nie zobaczyły – wymamrotała.

Gdy krawędź grobu znajdowała się ponad trzydzieści centymetrów nad moją głową, przestałem kopać.

– Chodź zobaczyć – zawołałem. – Chyba wystarczy.

Twarz Henry'ego pojawiła się nade mną, do góry nogami. Przytaknął.

– Taa. Powinno starczyć.

Podąłem mu szpadel, ale gdy próbował mnie wyciągnąć, nic z tego nie wyszło. Byłem za głęboko, a nasze ręce i ściany wykopu okazały się za śliskie.

– Przyniosę drabinę – powiedział.

– Pospiesz się.

Czekałem w dole. Otaczało mnie błoto, cuchnące i oślizłe. Nade mną szarzał prostokąt coraz bardziej pochmurnego nieba. Stałem z głową odchylną do tyłu, nasłuchiwałem chlupotu zwiastującego powrót brata i zastanawiałem się, dlaczego, do cholery, tak długo nie przychodzi. „Gdyby coś się stało jemu i Laurze – pomyślałem – nikt by nie wiedział, że tu jestem”. Chwyciłem za krawędź wykopu i próbowałem się podciągnąć, ale moje palce zapadały się w blocku.

W następnej chwili na twarzy poczułem pierwsze krople deszczu.

– Henry! – wrzasnąłem.

Na razie mżyło, ale wiedziałem, że lada chwila deszcz zmieni się w ulewę. Woda zacznie wlewać się do dołu. Poczuję, jak opływa mi nogi, będzie podchodzić coraz wyżej, dosięgnie ud. Piersi. Szyi.

– Henry! Laura!

Zacząłem rzucać się na ściany niczym rozwścieczony niedźwiedź złapany w pułapkę. Jakaś część mnie potrafiła

spojrzeć na to wszystko z boku i potrząsać głową, widząc tak idiotyczne zachowanie, ale ludzki rozsądek był bezsilny wobec dzikiego instynktu. Nie chodziło o zamkniętą przestrzeń; spędziłem setki godzin w kabinie pilota i nie miałem z tym żadnego problemu. Chodziło o wodę. Podczas wojny jak ognia unikałem latania nad otwartym morzem, nawet jeśli oznaczało to przelot tuż nad stanowiskami wrogiej artylerii. W ten sposób zdobyłem medale za odwagę: tak bardzo bałem się wielkiego błękitu, który rozwierał paszczę pode mną, że pędziłem prosto w piekło rozpętane przez niemieckie działa.

Przez swój wrzask usłyszałem Henry'ego dopiero, gdy stanął nade mną.

– Jestem, Jamie! Jestem! – zawołał.

Opuścił drabinę do wykopu, a ja szybko się po niej wspiąłem. Chciał mi pomóc, chwycić mnie za ramię, ale mu nie pozwoliłem. Pochyliłem się, położyłem dłonie na kolanach i próbowałem uspokoić łomoczące serce.

– W porządku? – spytał.

Nie patrzyłem na niego, nie musiałem. Wiedziałem, że ma zmarszczone brwi i ściągnięte usta – minę pod tytułem „mój brat to wariat”.

– Myślałem, że może będziecie woleli mnie tu zostawić – powiedziałem, wymuszając zdławiony chichot.

– Niby dlaczego?

– Żartowałem, Henry. – Wyjąłem drabinę, chwyciłem ją pod ramię. – Chodź, załatwmy to już.

Ruszyliśmy przez pola, zatrzymaliśmy się na chwilę przy pompie, żeby zmyć błoto z rąk i twarzy, po czym skrociliśmy do obory po trumnę. Wyglądała żałośnie: skrzynia zbita z niedopasowanych kawałków drewna, ale tylko tyle mogliśmy zrobić z tym, co mieliśmy pod ręką. Henry zmarszczył brwi, podnosząc trumnę z jednego końca.

– Cholernie żałuję, że nie dało rady pojechać do miasta – powiedział.

– Ja też – odparłem, myśląc o whiskey.

Wnieśliśmy trumnę na werandę. Gdy mijaliśmy otwarte okno, Laura zawołała:

– Może napijecie się kawy i przebierzecie się, zanim go pochowamy.

– Nie – oznajmił Henry. – Nie ma czasu. Idzie burza.

Pomaszerowaliśmy do przybudówki i postaviliśmy skrzynię na podłodze z desek. Brat podniósł prześcieradło, żeby po raz ostatni spojrzeć ojcu w twarz. Papa wydawał się spokojny. Nic nie wskazywało na to, by jego śmierć była czymś innym niż naturalnym odejściem starszego człowieka, którego czas na tej ziemi się skończył.

Ja złapałem za stopy, Henry chwycił głowę.

– Ostrożnie – powiedział.

– Jasne – mruknąłem – żeby go nie zabolalo.

– Wybacz, bracie. Jestem już zmęczony.

Z niedorzeczną dbałością włożyliśmy ciało do trumny. Henry sięgnął po wieko.

– Ja tu skończę – oznajmił. – Ty dopilnuj, żeby Laura i dziewczynki się wyszykowały.

– Dobra.

Gdy wchodziłem do domu, dobiegło mnie pierwsze uderzenie młotkiem w gwoźdź, dźwięk słodki i ostateczny. Dzieciaki aż podskoczyły.

– Co to za walenie, mamó? – spytała Amanda Leigh.

– Tata zabija gwoździami trumnę Papy – wyjaśniła Laura.

– Czy Papa się o to wścieknie? – W szepcie Belli słychać było przerażenie.

Laura posłała mi krótkie, pełne złości spojrzenie.

– Nie, kochanie – powiedziała. – Papa nie żyje. Nigdy więcej na nikogo się nie wścieknie. No już, zakładajcie płaszcze i buty. Czas złożyć Papę na wieczny odpoczynek.

Cieszyłem się, że nie ma tu Henry’ego i że nie słyszy, jakie zadowolenie pobrzmiewa w jej głosie.

LAURA

Gdy myślę o farmie, widzę błoto. Żaloba za paznokciami męża, strupy zaschniętej ziemi oblepiające kolana i włosy dzieci. Błoto pochłaniające moje stopy niczym niemowlę łapczywie ssące pierś matki, znaczące śladami butów drewnianą podłogę domu. Było nie do pokonania. Pokrywało wszystko. Moje sny miały błotnisty kolor.

Kiedy padało – a padało często – podwórko przemieniało się w kociołek z gęstą zupą gumbo, dom zaś unosił się na jego środku jak rozmoczony krakers. Gdy nadchodziły ulewę, rzeka wylewała i zatapiała mostek, jedyną drogę dojazdową. Po drugiej stronie mostu leżał świat, w którym znano żarówki, brukowane drogi i białe nieoplamione koszule. Gdy rzeka wylewała, ten świat był dla nas stracony, a my byliśmy straceni dla niego.

Dzień przesuwiał się za dniem. Ręce wykonywały konieczne czynności: pompowały, ubijały, szorowały, skrobały. I gotowały, bez przerwy gotowały. Rozłupywały strąki fasoli i ukręcały kurczakom szyje. Ugniatały ciasto, łuskały kukurydzę, oczkowały ziemniaki. Gdy tylko

kończyło się sprzątanie po śniadaniu, trzeba było przygotowywać obiad. Po obiedzie szykowało się kolację, a następnego dnia rano znów zaczynało się od śniadania.

Pobudka o brzasku. Wizyta w wychodku. Złatwić się, dygocąc z chłodu zimą, oblewając się potem w lecie, przez cały rok oddychając ustami. Podebrać jajka kurom. Nanieść drewna i rozpalić w piecyku. Zrobić bułeczki, pokroić bekon i usmażyć go z jajkami wymieszanymi z kaszą kukurydzianą. Obudzić córki, dopilnować, żeby umyły zęby, pomóc im naciągnąć bluzki, skarpety i buty. Wyjść z najmłodszą na werandę i podnieść ją, by zadzwoniła dzwonkiem, który przywoła męża z pola i obudzi jego okropnego ojca śpiącego w przybudówce. Nakarmić ich wszystkich i siebie. Codziennie szorować żeliwną patelnię, dziecięce buzie i zabłoconą podłogę, podczas gdy staruch siedzi i się przygląda. I zawsze ma coś do powiedzenia: „Lepiej pomieszaj warzywa, dziewczyno. Lepiej zamieć teraz podłogę. Naucz smarkaczy, jak się zachowywać. Zrób pranie. Sypnij kurczakom. Podaj mi łaskę”. Głos zaflegmiony od papierosów. Chytre blade oczka świdrują czarnymi źrenicami.

Straszył dzieciaki, zwłaszcza moją najmłodszą, która była trochę pucółwata.

– Chodź do mnie, prosiaczkę – wołał do niej.

Córka zerknęła na niego zza moich nóg. Patrzyła na jego długie żółte zęby. Kościste, pożółkłe palce o grubych paznokciach zakrzywionych niczym starożytne rogi.

– Chodź do mnie, na kolana.

Niewiele obchodziły go dzieci i wcale nie lubił ich przytulać, lubił wiedzieć, że budzi w nich strach. Gdy córka do niego nie podchodziła, mówił jej, że może to i lepiej, bo jest tak tłusta, że gdyby usiadła mu na kolanach, połamałaby mu kości. Mała wybuchała wtedy płaczem, a ja

wyobrażałam sobie tego starucha w trumnie. Oczywiście wyobraźni widziałam wieko, które zasuwa się, zakrywając mu twarz, i skrzynię opuszczaną na linach do dołu. Słyszałam głuchy stukot ziemi bębniącej o drewno.

– Papo – pytałam z uroczym uśmiechem – może napijesz się kawy?

Muszę jednak zacząć od początku, o ile uda mi się go znaleźć. Początki to momenty trudne do uchwycenia. Czasami myślimy, że udało nam się do nich dotrzeć, ale wtedy wystarczy spojrzeć wstecz i widzi się jeszcze wcześniejszy początek. Nawet jeśli zaczniemy tak: „Rozdział pierwszy. Narodziny”, pozostaje kwestia przodków, skutku i przyczyny. Dlaczego młody David Copperfield nie ma ojca? Jego ojciec umarł – oznajmia Dickens – ponieważ był wątłego zdrowia. No dobrze, ale skąd się wzięła ta śmiertelna w skutkach wątłość? Na ten temat Dickens milczy, dlatego pozostają nam domysły. Może rodzic Davida miał wrodzoną wadę serca odziedziczoną po matce, która swego czasu popełniła megalians, wychodząc za mąż za człowieka niższego stanu, przy czym małżeństwu temu sprzeciwiał się okrutny ojciec dziewczyny – ten sam, który jako dziecko był bity przez nianię, kobietę zmuszoną do pójścia na służbę po tym, jak niewierny mąż porzucił ją dla kochanki przypadkowo poznanej przed salonem modystki: jemu akurat zepsuło się koło powozu, a ona szła oddać kapelusz do wykończenia. Jeśli zaczniemy w tym punkcie, okaże się, że młody David został bez ojca, ponieważ przyszła metresa męża niani zatrudnianej przez jego prapradziadka postanowiła ozdobić nakrycie głowy.

Zgodnie z tą samą logiką mój teść został zamordowany, ponieważ urodziłam się jako niezbyt urodziwe dziecko. To jeden z możliwych początków. Oczywiście istnieją także

inne: ponieważ Henry uratował Jamiemu życie podczas wielkiej powodzi nad Missisipi w 1927 roku. Ponieważ Papa sprzedał ziemię, która powinna należeć do Henry'ego. Ponieważ Jamie wykonał zbyt wiele nalotów bombowych podczas wojny. Ponieważ Murzyn Ronsel Jackson za bardzo się wybijał. Ponieważ mąż zaniedbywał żonę, ojciec zdradził syna, a matka postanowiła się zemścić. Początek historii zależy chyba od tego, kto ją opowiada. Ale nawet jeśli różni ludzie zaczynają w różnych miejscach, opowieść i tak kończy się tym samym.

Aż korci, żeby przyjąć, że to, co stało się na farmie, było nieuniknione, że tak naprawdę wszystkie wydarzenia w naszym życiu są z góry określone niczym ruchy w grze w kółko i krzyżyk: zacznij w środkowym polu i nikt nigdy nie wygra. Zacznij w jednym z rogów, a będziesz zwycięzcą. A jeśli nie zaczniesz, jeśli pozwolisz przeciwnikowi wykonać pierwszy ruch? To przegrasz, i tyle.

Prawda jednak nie wygląda tak prosto. Śmierć może i jest nieunikniona, ale miłość – nie jest. W miłości chodzi o wybór.

I od tego zacznę. Od miłości.

W Biblii dużo się mówi o wiernym trwaniu. Mężczyźni i kobiety trwają w Bogu. Mężowie trwają przy żonach. Trwa wiara, nadzieja i miłość. Zatem trwanie – wpaja się nam – jest czymś dobrym. Sprawiedliwi trwają, nieczemni – nie.

W dniu ślubu matka – usiłując z grubsza przygotować mnie na plugastwo małżeńskiego łoża – powiedziała, że-
bym bez względu na wszystko trwała przy Henrym.

– Na początku będzie bolało – pouczała, zapinając mi na szyi sznur swoich pereł. – Ale z czasem będzie łatwiej.

Miała rację tylko częściowo.

Gdy wiosną 1939 roku poznałam Henry'ego McAllana, byłam trzydziestojednoletnią dziewczicą, starą panną na dobrej drodze do skostnienia. Mój świat był mały i wszystko w nim znałam. Mieszkalam z rodzicami w domu, w którym się urodziłam. Zajmowałam pokój, który wcześniej dzieliłam z siostrami. Uczylałam języka angielskiego w prywatnej szkole dla chłopców, śpiewałam w chórze kościoła episkopalnego, opiekowałam się bratanicami i siostrzeńcami. W poniedziałkowe wieczory grywałam w brydża z zamężnymi przyjaciółkami.

Nigdy nie byłam równie piękna jak moje siostry. Fanny i Etta mają jasne włosy i delikatną urodę po Fairbairnach, rodzinie ze strony matki, ale ja jestem wykapana Chappell: niska i ciemnowłosa, o wyraźnych galijskich rysach i pełnej figurze, która nie wyglądała najlepiej w sukienkach o obniżonym stanie noszonych za mojej młodości. Koleżanki mamy zawsze się zachwycaly moimi uroczymi pulchnymi dłońmi, ciemnymi loczkami i pogodnym usposobieniem – taką właśnie byłam dziewczyną. Aż pewnego dnia – zupełnie znienacka, tak mi się przynajmniej zdawało – przestałam być młoda. Matka przeplakała cały wieczór w dzień moich trzydziestych urodzin, gdy naczynia po rodzinnej uroczystości zostały już pozmywane, a bracia i siostry razem z małżonkami i dziećmi wycelowali mnie na pożegnanie, po czym wrócili do swoich domów. Stłumiony szloch mamy wtulonej w poduszkę, a może w ramię ojca, niósł się po korytarzu i dolatywał do mojego pokoju, w którym leżałam z otwartymi oczami i przysłuchiwałam się nawoływaniom lelków, cykad i żab. „Jestem! Jestem!”, wydawały się mówić.

– Jestem – wyszeptalam. Słowo to zabrzmiało w moich ustach pusto, nieszczerze, zdawało się równie jałowe

jak gorączkowe cykanie świerszcza zamkniętego w pudełku po zapalnicach. Minęło wiele godzin, zanim zasnęłam.

Kiedy jednak obudziłam się następnego ranka, poczułam coś na kształt ulgi. Nie byłam już tą „niezamężną”, zostałam oficjalnie uznana za „niezdadną do małżeństwa”. Wszyscy wokół mogli w końcu porzucić płonne nadzieje i zająć się jakimś innym, bardziej zasługującym na uwagę przedsięwzięciem, ja zaś mogłam w spokoju wieść życie szanowanej nauczycielki, ukochanej córki, siostry, bratanicy i ciotki. To mnie zadowalało.

Ciekawe, czy moje zadowolenie trwałoby długo. Czy rzeczywiście odnalazłabym szczęście w wąskich, pustych marginesach stron, naturalnym siedlisku niezamężnych ciotek i bezdzietnych nauczycielek? Trudno powiedzieć, ponieważ niecały rok później w moim życiu pojawił się Henry i wciągnął mnie prosto między zapisane atramentem wersy.

Pewnej niedzieli mój brat Teddy przyprowadził go ze sobą na obiad. Teddy pracował jako rzeczoznawca wyceny gruntu w Korpusie Inżynieryjnym Armii Stanów Zjednoczonych, a Henry był jego nowym szefem. Był też okazem rzadkiego i cennego gatunku kawalerów po czterdziestce. Wyglądał na swoje lata głównie z powodu włosów, zupełnie białych. Nie miał zbyt okazałej postury, ale wydawał się dobrze zbudowany. Wyraźnie utykał na jedną nogę – później dowiedziałam się, że z powodu wojennych ran – nie tracił jednak przez to na pewności siebie. Poruszał się wolno i z rozmysłem, jak gdyby ramiona i nogi tak mu ciążyły, że przy każdej zmianie pozycji musiał się dobrze zastanowić, w jaki sposób je przemieścić. Dłonie miał silne i kształtne, paznokcie zbyt długie. Zdumiało mnie to, że jego ręce potrafią spoczywać bez ruchu:

leżały spokojnie na kolanach albo po obu stronach talerza, nawet gdy rozmowa zesła na politykę. Mówił z uroczym akcentem mieszkańców Delt Mississippi, a brzmiało to tak, jak gdyby prowadził dyskusję, trzymając w ustach nieprzelknięty kawałek pysznego deseru. Większość komentarzy kierował do Teddy'ego i moich rodziców, jednak przez cały czas czułam na sobie spojrzenie jego szarych oczu, które badały moją twarz, odwracały się na chwilę, po czym znów biegły do mnie. Pamiętam, że skóra mnie piekła i pociła się pod ubraniem z gorąca, a ręce lekko mi drżały, gdy sięgałam po szklankę z wodą.

Mama, która była wyczulona na wszelkie przejawy zainteresowania ze strony mężczyzn, zaczęła z nużącą częstotliwością wprowadzać do rozmowy wątki dotyczące moich kobiecych zalet:

– Ach, więc skończył pan studia, panie McAllan? Laura też studiowała. Dyplom nauczycielski uzyskała w Kolegium Nauczycielskim West Tennessee. Tak, panie McAllan, wszyscy gramy na pianinie, ale jak do tej pory Laura jest najlepszą pianistką w rodzinie. Do tego pięknie śpiewa, prawda, Teddy? I koniecznie powinien pan spróbować ciasta brzoskwińskiego jej wypieku.

I tak dalej. Większą część obiadu przesiedziałam ze wzrokiem wbitym w talerz. Za każdym razem, gdy próbowałam wycofać się do kuchni pod pozorem przyniesienia tego czy owego, mama upierała się, że sama się tym zajmie, albo wyprawiała Elizę, żonę Teddy'ego, która kierując się posłusznie do drzwi, posyłała mi spojrzenia pełne współczucia. Oczy brata przeskakiwały z twarzy na twarz, a on sam pod koniec posiłku wydawał się krztusić ze śmiechu. Miałam ochotę udusić i jego, i matkę.

Gdy Henry się z nami żegnał, mama zaprosiła go na niedzielny obiad za tydzień. Zerknął na mnie, zanim się

zgodził, a ja robiłam, co mogłam, żeby na jego badawcze spojrzenie odpowiedzieć uprzejmym uśmiechem.

Przez następny tydzień matka nie mówiła o niczym innym, tylko o czarującym panu McAllanie: jaki to ma łagodny głos, jak doskonale maniery i – największa pochwała ze wszystkich – że w ogóle nie prosił wina do obiadu. Tacie też przypadł do gustu, ale to akurat nikogo nie zdziwiło. Dla mojego ojca, emerytowanego profesora historii, najlepszą miarą wartości człowieka było jego wykształcenie. Gdyby objawił się nam sam Jezus Chrystus, ale nie miał przy sobie dyplomu, nie znalazłby przychylności w oczach taty.

Rozniecone nadzieje rodziców mnie drażniły. Obawiałam się, że przez to nadzieja obudzi się również we mnie, a na to nie mogłam pozwolić. Tłumaczyłam sobie, że ten cały Henry McAllan i jego akademickie maniery nie mają ze mną nic wspólnego. Niedawno przyjechał do Memphis i cierpiał na brak towarzystwa, tylko dlatego przyjął ponowne zaproszenie mamy.

Jakże żalosne były moje próby obrony i jak marne! Rozsypały się w proch już następnej niedzieli, gdy Henry pojawił się z bukietem lilii dla mnie i dla mamy. Po obiedzie zaproponował mi spacer. Zaprowadziłam go do parku Overton. Kwitły derenie i gdy przechadzaliśmy się pod nimi, wiatr obsypywał nasze głowy tumanami białych płatków. Przypominało to scenę z filmu, chociaż przedziwna byłaby ze mnie bohaterka. Henry wybierał mi płatki z włosów, jego palce delikatnie muskały mój policzek.

- Są ładne, prawda? – powiedział.
- Tak, ale smutne.
- Dlaczego smutne?
- Ponieważ przypominają o cierpieniu Chrystusa.

Henry ściągnął brwi, między którymi utworzyła się głęboka pionowa zmarszczka. Poznałam, że nie lubi, gdy ktoś ma większą wiedzę od niego, ale spodobało mi się, że w przeciwieństwie do większości mężczyzn woli się przyznać do niewiedzy, niż udawać. Pokazałam mu na czterech płatkach krwawe ślady przypominające otwory po gwoździach.

– Ach – mruknął i ujął moją dłoń.

Trzymał mnie za rękę przez całą drogę powrotną, a gdy doszliśmy do domu, zaprosił mnie na operetkę *Bohaterowie* wystawianą następnej soboty na scenie Amfiteatru Memphis. Kobiety z rodziny zaoferowały się wyszykować mnie na tę okazję. Mama wybrała się ze mną do domu towarowego Lowensteina, by sprawić mi nową sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem i bufiastymi rękawami. W sobotę rano zjawily się siostry z mazidlami do policzków i powiek oraz szminkami we wszystkich odcieniach czerwieni i różu, które postanowiły wypróbować na mojej twarzy. Upiększały mnie zręcznymi, wprawnymi ruchami z pewnością godną szefów kuchni, którzy doskonale wiedzą, ile jakiej przyprawy należy dodać, aby wyszedł idealny sos. Gdy byłam już wyskubana, pomalowana i wypudrowana w zadowalającym je stopniu, postawiły przede mną lusterko, prezentując mi moje odbicie niczym upominek. Wydałam się sobie dziwna, obca, i powiedziałam o tym siostrze.

– Poczekaj, aż zobaczy cię Henry – oznajmiła ze śmiechem Fanny.

Gdy po mnie przyjechał, mruknął jedynie, że ładnie wyglądam. Jednak później tego samego dnia po raz pierwszy mnie pocałował, ujmując moją twarz w dłonie tak naturalnie i poufale, jak gdyby sięgał po swój ulubiony kapełusz albo miseczkę do golenia, którą posiada od lat. Nigdy

wcześniej żaden mężczyzna nie całował mnie tak zaborczo i zapamiętałe. Przyprawił mnie o dreszcze.

Henry'ego cechowała ogromna wiara w siebie i zdecydowanie, którego mnie zawsze brakowało. Był pewien zadziwiająco wielu rzeczy: packardy to najlepsze amerykańskie samochody. Mięsa nie należy jeść na surowo. Hymnem narodowym Stanów Zjednoczonych powinna być pieśń Irvinga Berlina *Boże, pobłogosław Amerykę*, ponieważ *Gwiazdzisty sztandar* za trudno się śpiewa. Jankesi wygrały mistrzostwa w baseballu. W Europie wybuchnie kolejna wojna i lepiej by było, żeby Ameryka trzymała się od tego z daleka. W niebieskim ci do twarzy, Lauro.

Ubierałam się na niebiesko. Pomału w ciągu kilku następnych miesięcy rozpościerałam przed nim swoje życie. Opowiadałam o swoich ulubionych uczniach, o wakacyjnej pracy jako wychowawczyni na obozie w Myrtle Beach i o rodzinie, aż po kuzynów z drugiej i trzeciej linii. Mówiłam o dwóch latach studiów, o tym, jak zapalałam miłością do Dickensa i siostr Brontë, a nienawiścią obdarzyłam Melville'a oraz matematykę. Henry przysłuchiwał mi się z powagą i od czasu do czasu reagował na moje zwierzenia aprobowanym skinieniem głowy. Szybko się zorientowałam, że bardzo pragnę tych potakiwań, dlatego zapamiętywałam momenty, kiedy skinienia się pojawiały, a także te, gdy ich brakowało. Jak można było przewidzieć, wkrótce zaczęłam się pokazywać z takiej strony, aby móc liczyć na jak najczęstsze przytaknięcia. Nie było to wyrażenie z mojej strony ani żadna kobieca sztuczka. Nie przywykłam do podziwu ze strony mężczyzny i po prostu pragnęłam mieć go więcej, więcej uwagi Henry'ego i wszystkiego, co się z nią wiązało.

A wiązało się z nią bardzo wiele. Posiadanie fatyganta – jak mawiała matka przy każdej nadarzającej się

okazji – nadawało mi w towarzystwie status, którego nigdy wcześniej nie miałam. Nagle stałam się ładniejsza, bardziej interesująca i warta różnych dobrych rzeczy.

„Jak pięknie dziś wyglądasz, kochanie” – mówili krewni i znajomi. „Doprawdy, cała promieniejesz!” I jeszcze: „Chodź, usiądź ze mną, Lauro, i opowiedz mi wszystko o tym swoim panu McAllanie”.

Nie byłam wcale pewna, czy pan McAllan jest rzeczywiście mój, ale gdy wiosna przeszła w lato, a zainteresowanie Henry’ego nie słabło, pozwoliłam sobie na odrobinę nadziei, że może jednak to prawda. Zabierał mnie do restauracji i do kina, na spacerówkę wzdłuż Missisipi i całodniowe wypadki na wieś, gdzie pokazywał mi wyjątkowe cechy krajobrazu i opowiadał o mijanych gospodarstwach. Dobrze się znał na uprawach, hodowli zwierząt i tak dalej. Gdy powiedziałam to głośno, odrzekł, że wychowywał się na farmie.

– Twoi rodzice wciąż tam mieszkają? – spytałam.

– Nie. Sprzedali gospodarstwo po powodzi w dwudziestym siódmym.

Usłyszałam w jego głosie smutek, ale przyczynę tego uczucia upatrywałam w tęsknocie za dzieciństwem. Nie wpadło mi do głowy, żeby zapytać, czy sam chciałby kiedyś uprawiać ziemię. Henry skończył studia, był wziętym inżynierem i miał pracę, dzięki której mógł sobie pozwolić na życie w Memphis – w samym sercu cywilizacji. Dlaczego niby miałby pragnąć szarpaniny, jaką jest prowadzenie farmy?

– W ten weekend przyjeżdża mój brat z Oxfordu – oświadczył pewnego lipcowego dnia Henry. – Chcę, żeby cię poznał.

Chce poznać mnie ze swoim bratem. Serce zaczęło mi łomotać. Jamie był ulubionym krewnym Henry’ego. Często

o nim mówił, z mieszaniną sympatii i irytacji, co zawsze mnie rozśmieszało. Jamie studiował na Uniwersytecie Missisipi sztuki piękne („kierunek zupełnie niepraktyczny”), a dorabiał sobie jako model męskich ubrań („zajęcie niegodne mężczyzny”). Pragnął zostać aktorem („z tego nie da się utrzymać rodziny”) i cały wolny czas poświęcał kółku dramatycznemu („po prostu lubi zwracać na siebie uwagę”). Jednak pomimo całej tej krytyki widać było wyraźnie, że Henry uwielbia młodszego brata. Jego oczy ożywiały się, gdy zaczynał mówić o Jamiem, a ręce – zwykle spokojne – unosiły się i zaczynały kreślić w powietrzu przeróżne kształty. To, że chciał przedstawić mnie bratu, z pewnością oznaczało, iż uważa naszą znajomość za więcej niż przelotną. Nauczona doświadczeniem starałam się odsunąć od siebie tę myśl, ale ona uparcie powracała. Tamtego wieczoru, obierając ziemniaki na kolację, wyobrażałam sobie, że Henry mi się oświadcza, widziałam, jak klęka przede mną w salonie, na jego twarzy maluje się powaga i lekkie zdenerwowanie – a co, jeśli go nie zechcę? Gdy następnego dnia rano ścieliłam swoje wąskie łóżko, wyobrażnia podsuwała mi obraz szerokiego małżeńskiego łóża oraz moich rąk, które wygładzają białą pluszową kapę ozdobioną wzorami i poprawiają poduszki z odcisniętymi śladami głów. Przepytyując w szkole uczniów z wyrażzeń przyimkowych, w myślach widziałam dziecko o szarych oczach Henry’ego leżące w wiklinowej kołysce. Te wszystkie wizje rozkwitały w mojej głowie niczym egzotyczne kwiaty, jaskrawe i wybujałe, rozrastające się ponad miarę po latach skrzętnego przycinania.

W dzień przyjazdu Jamiego wyjątkowo starannie dobrałam garderobę, włożyłam granatowy lniany kostium, w którym podobałam się Henry’emu, i cierpliwie zniosłam tortury, jakim poddawała mnie mama, zaczesując

moje niesforne włosy i upinając je w kok rodem z żurnala. Gdy przyszedł po mnie Henry, udaliśmy się na dworzec kolejowy. Stojąc na peronie, przeszukiwałam wzrokiem tłum wysiadających pasażerów. Liczyłam, że dojrzę w nim młodszą wersję mojego towarzysza, jednak mężczyzna, który skierował się w naszą stronę energicznym krokiem, w niczym nie przypominał starszego brata. Przyglądałam się im, gdy padli sobie w objęcia: jeden ogorzały i przysadzisty, drugi wysoki, tyczkowaty, o jasnej cerze i włosach koloru świeżo wybitej jednocentówki. W następnym momencie poklepalili się po plecach, jak robią to mężczyźni, chcąc zakończyć chwilę zażyłości, po czym odsunęli się od siebie i spojrzeli sobie w twarz.

– Dobrze wyglądasz, bracie – powiedział Jamie. – Powietrze Tennessee chyba ci służy. A może to nie powietrze, ale coś innego?

Po tych słowach obrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. Był piękny; nie można było go określić inaczej. Miał regularne, ostre rysy, a skórę tak delikatną, że na skroniach prześwitywały spod niej drobne żyłki. Bładozielone oczy wydawały się promienieć wewnętrznym światłem. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata, był o dziewięć lat młodszy ode mnie, a od Henry'ego o dziewiętnaście.

– To jest panna Chappell – przedstawił mnie Henry. – Mój brat Jamie.

– Miło mi pana poznać – wykrztusiłam.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Ujął dłoń, którą mu podałam, i pocałował ją z przesadną galanterią.

Henry przewrócił oczami.

– Mój brat uważa się za postać z jednej ze swoich sztuk.

– Ba, tylko za którą? – zastanowił się Jamie, unosząc palec wskazujący. – Za Hamleta? Fausta? Księcia Henryka? Jak pani sądzi, panno Chappell?

Czasem trzeba zrobić coś złego, żeby postąpić słusznie

Rok 1946. Henry McAllan przenosi się z żoną Laurą z Memphis na farmę w delcie Missisipi. Gdy on prowadzi plantację, ona walczy z przytłaczającą codziennością wychowywania córek w domu bez prądu i wody, pod okiem kłótniowego i bezdusznego teścia, pośród wszechobecnego brudu i błota.

Kiedy McAllanowie borykają się z nawarstwiającymi się problemami, z europejskich frontów powracają Jamie, zawadiacki, ale emocjonalnie poobijany młodszy brat Henry'ego, i Ronsel, najstarszy syn Jacksonów, czarnoskórych dzierżawców farmy. Doświadczenie innego świata – bez podziału na czarnych i białych – pozwoliło im się zaprzyjaźnić. Ale rzeczywistość Południa brutalnie sprowadza ich na ziemię. Jamie i Ronsel zostają wystawieni na niehumanitarną próbę.

To, co się wydarzy, odcisnie piętno na obu rodzinach. Kto będzie bardziej winny: ci, którzy uczynili zło, czy ci, którzy do niego dopuścili?

Błoto to dramatyczna powieść o niemożliwej przyjaźni, sile uprzedzeń i ślepych gniewie.

e-book dostępny na woblink.com

ISBN 978-83-7515-497-9



9 788375 154979

cena detal. 39,90 zł



WYDAWNICTWO
OTWARTE